Nr. 50. **Rok II.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 14 grudnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O metodzie w nauce ekonomji politycznéj

napisał

Dr. **Józef Descours de Tournoy.**

(Ciąg dalszy.)

Ostatnim znakomitszym ekonomistą ze szkoły Smitha jest Bastiat, ale sławę swoją zawdzięcza nie tyle swojéj naukowéj wewnętrznéj wartości, ile zwycięzkim sporom, toczonym z tymi, którzy jéj bez porównania mniéj mieli, to jest z socjalistami, gdyż o Proudhonie nie możemy tego powiedzieć. Dla Bastiata właściwie znajomość Smitha i jego poprzedników francuzkich ma zastępować znajomość historji, prawa, psychologji, jedném słowem wszystkich wiadomości ludzkich, które mieć mogą za przedmiot człowieka.

Tym sposobem w tym systemie oryginalnéj mechaniki racjonalnéj, opierającéj się zawsze na siłach odpychających się wzajemnie i zawsze równych między sobą, nie może naturalnie mieć miejsca ani żadna trudność, ani kwestje socjalne lub ekonomiczne. Czytając Bastiata możnaby przypuszczać, że każde zadanie społeczne lub ekonomiczne rozstrzygać się daje za pomocą ołówka i kawałka papieru, jak równanie algebraiczne.

Z abstrakcyjnych jednostek, matematycznie równych między sobą, łatwo mu było udowodnić niemożliwość kolizji tak samo między jednostkami, klasami społecznemi, jak i narodami. Wypada ztąd rodzaj optymistycznego fatalizmu, który on nazywa harmonjami ekonomicznemi, a który, jak każdy fatalizm, musiałby prowadzić do bezczynności.

Prawdziwą przyczyną popularności pism Bastiata jest, że bardzo pochlebia dążności naszego wieku do zajmowania się wszystkiém powierzchownie, nie zgłębiając niczego. W kilkudziesięciu stronnicach, napisanych w formie bardzo zajmującéj, zdaje się nam, że poznajemy wszelkie zadanie społeczne. Po przeczytaniu ich znikają wszelkie trudności i wątpliwości. Trzy lub cztery wyrazy rozwiązują zadania nierozwiązane od wieków, a że te trzy wyrazy dają się zredukować do jednego, ale bardzo pięknego, to jest wolność, czytając go stajemy się zarazem uczonymi i liberalnymi bez wielkiéj pracy. Nie potrzeba też więcéj, żeby książce zapewnić powodzenie.

Z tém wszystkiém nie możemy zaprzeczyć, że ekonomiści ze szkoły Smitha oddali wielkie usługi nauce ekonomji politycznéj we wszystkich kwestjach, które mogą być traktowane w ten sposób abstrakcyjny i mechaniczny, jak naprzykład kwestje odnoszące się do cyrkulacji, a zatem kwestje banków, lecz nie mogli tyle zdziałać w kwestjach, w których ludzkość występuje bezpośredniéj; gdyż zamiast widzieć w człowieku istotę organiczną i rozumną, najbardziéj skomplikowany produkt tylu wieków społecznego życia, widzieli w nim tylko abstrakcyjną jednostkę.

Ten sposób traktowania najważniejszéj nauki społecznéj nie mógł zadowolnić uczonego, który z głęboką znajomością ekonomji łączył studja historyczne i który za przedmiot tych ostatnich wybrał sobie naród najbogatszy w podania historyczne, najróżnolitszy w swoim rozwoju dziejowym, to jest naród włoski. W tym swoim podwójnym charakterze, jako ekonomista i jako historyk, nie mógł on zadowolnić się tą metodą mechaniczną traktowania nauk społecznych i ekonomicznych. Każdy zgadnie, że mówimy o ekonomiście, który pomimo swoich oczywistych paradoxów, zdołał obudzić cześć i uznanie we wszystkich szkołach ekonomicznych, jedném słowem, że mówimy o Sismondim.

Na Sismondim, obdarzonym umysłem głębokim i sercem szlachetném, co nie jest rzeczą obojętną w nauce gdzie idzie nietylko o prawdę teoretyczną, ale i o rezultat praktyczny, zrobiły głębokie wrażenie zmiany, jakie sprowadził postęp ekonomiczny, mianowicie maszyny w klasie robotniczéj. Zaczął wątpić czy kierunek ten jest korzystnym dla społeczeństwa, wątpił, ale się nie ośmielił przemówić za powrotem do dawnych porządków i korporacji.

Sismondi w nauce więcéj krytykował rezultata, jak pierwsze dane, więcéj część praktyczną jak teoretyczną, i dla tego jego wątpliwości nie były użyteczne dla teorji a dla praktyki miały najzgubniejsze skutki.

Wprawdzie szkoła Smitha nie uznawała żadnéj podstawy historycznéj, żadnych różnic narodowych i politycznych, ale jéj rezultata nie sprzeciwiały się porządkowi społecznemu, jaki się ukształtował po tysiącach lat rozwoju historycznego, podczas gdy wątpliwości Sismondego dały pozór naukowości utopjom chcącym urządzić dla ludzkości łoże Prokusta w sztucznéj organizacji, to jest socjalizmowi.

Tendencje komunistyczne stare jak świat, logiczna konieczność niwelacyjnych dążności rewolucji francuzkiéj do bezwzględnéj równości, były dotąd albo igraszką fantazji wyższych umysłów, jak Platon, Morus lub Campanella, w utopji szukających wytchnienia po smutnéj rzeczywistości, albo też wybrykiem zwierzęcych instynktów ciemnego tłumu jak u Anabaptystów, lub w tak zwanym spisku Baboeufa za rewolucji francuzkiéj, pierwszy raz przedstawiły się światu jako doktryna usystematyzowana z mniemaniem o swojém naukowém uprawnieniu. Rzeczywiście, jeżeli mogła istnieć jako nauka, ekonomja oparta na hipotezie egoizmu, to mogłaby także istnieć ekonomja oparta na instynktach towarzyskich człowieka. Wyobrażenia Cabeta, Fouriera, Ludwika Blanc, mają to wspólnego ze szkołą Smitha, że negują wszelką podstawę historyczną i że mają podobnie mechaniczny pogląd na społeczeństwo, ale że ich mechanika społeczna operuje na wprost przeciwnych siłach, musi zatém dochodzić do wprost przeciwnych rezultatów.

Zaprzeczenie wszelkiéj podstawy historycznéj sprawiło, że utopje socjalistyczne musiały się przyjąć u narodu, który od lat trzechset pod najrozmaitszemi pretekstami stara się wytępić u siebie wszelkie podania miejscowe i dziejowe i zniszczyć wszelkie różnice indywidualne, to jest we Francji, gdzie zamiłowanie do wszelkich teorji bezwzględnych sprawia, że zapewne nigdzie tak nie posuwają do ostateczności rezultatów w teorji kierunku indywidualistycznego jak i socjalnego.

Z tych kierunków sobie przeciwnych, ale równie fałszywych, gdyż jednostronnych, współczesny nam myśliciel angielski, który obecnie rzucony i na pole polityki praktycznéj, John Stuart Mill, ułożył system, który ma się do poprzedzających, jak mechanika stosowana do mechaniki racjonalnéj, lecz i o nim nie można powiedzieć, żeby zmienił metodę. Jego relatywizm, który ze względu na rezultata robi go tak podobnym do szkoły historycznéj, nie zawdzięcza się u niego metodzie odpowiedniejszéj, ale bystremu jego umysłowi, krytycznie wykształconemu badaniami filozoficznemi; można powiedzieć, że dopiéro Niemcy mają zasługę uważania życia ekonomicznego każdego narodu, razem z ogółem wszystkich zjawisk jego życia, a tém samém jako podległe dziejowemu rozwojowi.

Zaledwie nauka Smitha została w Niemczech poznaną, kiedy konieczność badania życia ekonomicznego w jego historycznym rozwoju i razem z innemi objawami życia narodowego była wyrażoną w oryginalny sposób przez Adama Müllera, to jest, że dzieło Smitha powinno być czytane i rozważane razem z Montesquiuszem, i że jeden dopełnia drugiego*).

Adam Müller jednakże przerażony kierunkiem rewolucji i przewidując zwycięztwo stanowcze mieszczaństwa francuzkiego, a tém samém kapitału nad człowiekiem, nie widząc gwarancji dla rozwoju indywidualnego, zagrożonego dążnościami niwelacyjnemi, i ludzkiego, w Cycerońskiém tego słowa znaczeniu, dążnością plutokratyczną, logiczniejszy czy odważniejszy od Sismondego wniósł, za zachowaniem raczéj porządku średniowiécznego. Dla tego téż on jest założycielem tego kierunku konserwatywnego, bardziéj wymierzonego przeciwko mieszczaństwu, jak przeciwko prawdziwemu ludowi, który to kierunek spotykać można u wysokiéj szlachty niemieckiéj, a symbolizuje się prawie w nazwisku Lassalle i Hatefeld. Okoliczność ta była przyczyną antypatji, jaką żywią do Adama Müllera ekonomiści niemieccy, nawet ze szkoły historycznéj, zapominającéj, że w nim właściwie mają patrjarchę.

Niedługo po Adamie Müller, Hoffmann, dyrektor bióra statystycznego w Berlinie, w monografji o pieniądzach**) przyjął za zasadę, że każdy naród przechodzi pewne fazy rozwoju życia ekonomicznego i fazy te nazwał od sposobu uskuteczniania najważniejszéj czynności ekonomicznéj wymiany, gospodarstwem naturalném lub gospodarstwem monetarném, tym sposobem przeprowadził konsekwentnie metodę historyczną przynajmniéj w téj części ekonomji, którą się był zajął.

Nie mając równie głębokich pojęć jak Adam Müller i Hoffmann, daleko bardziéj od nich jest znanym Fryderyk List, właściwy założyciel Związku celnego niemieckiego. Poddał on system Smitha surowéj krytyce, zarzucając mu przedewszystkiém kosmopolityzm. Zarzut ten kosmopolityzmu powtórzył w nowszych czasach bezwiednie nasz Supiński, bezwiednie, gdyż zarzuca szkole Smitha niby rzecz wprost przeciwną, to jest partykularyzm.

Oryginalnym, chociaż najzupełniéj uzasadnionym procesem myśli dochodzi do uważania ekonomistów angielskich i francuzkich jako przedstawiających wyłącznie gospodarstwa społeczne angielskie i francuzkie. W rzeczy saméj tylko ich rezultata są kosmopolityczne, ale z natury saméj nauki wynika, że w ekonomji, filozoficzna konstrukcja jest bardzo trudna, chociaż możliwa, kiedy jéj Ricardo i Bastiat próbowali, zatém wiele z podawanych przez ekonomistów tak nazwanych praw ekonomicznych, mających się wszędzie jednakowo objawiać, pomimo różnic narodowych, cywilizacyjnych, społecznych i naturalnych warunków, są tylko uogólnieniem faktów, mających miejsce w Anglji lub Francji. Samo jednak uważanie ekonomistów ze szkoły Smitha jako przedstawicieli partykularnych gospodarstw społecznych jest najostrzejszą ich krytyką, gdyż jest naprzód zaprzeczeniem ich abstrakcyjnego kosmopolityzmu a następnie nieprzyjęciem bezwzględném ogólnego znaczenia tak zwanych praw ekonomicznych.

Myśl wszakże Supińskiego partykularnych szkół gospodarstwa społecznego nie wydaje nam się mieć najmniejszéj naukowéj podstawy. Pojęcie szkoły narodowéj, prowincjonalnéj nawet, może być uzasadnioném w sztuce, w poezji, to jest gdzie żywioł subjektywny przeważa, ale w nauce, gdzie idzie o poznanie danych zjawisk, gdzie badający musi się podnieść do czysto rozumowego stanowiska, nie może być szkoły polskiéj, francuzkiéj

---

*) W odczytach o polityce mianych w Dreznie 1810 i tegoż roku drukowanych.

**) Die Lehre vom Gelde. Wszystkie prawie dzieła niemieckie przytaczamy z pamięci dla wielkiego ich niedostatku we Włoszech.

lub angielskiéj gospodarstwa społecznego, tak jak nie ma polskiéj, francuzkiéj lub angielskiéj matematyki.

Inaczéj rzecz się ma z przedmiotem saméj nauki. Jeżeliśmy przyszli do rezultatu, że produkcja jakiego kraju zależeć musi od ilości, jakości i umiejętnego użycia sił produkcyjnych, podział dóbr od stosunków społecznych a spożycie od obyczajów, to musimy przyznać, że gospodarstwo społeczne każdego kraju posiada właściwe sobie cechy. tak ze względu na fazę historycznego rozwoju, w jakiéj się w danym razie znajduje, jak też ze względu na stosunki klimatyczne, geograficzne, polityczne i t. p.

Ogólne zatém podręczniki ekonomiczne są właściwie niewystarczające, ale potrzebnemi są takie jeszcze, w którychby ekonomja opierając się na statystyce, dawała wyobrażenie o gospodarstwie społeczném danego kraju. Długo to zapewne należeć jeszcze będzie do życzeń tylko, gdyż wykonanie podobnych podręczników przechodziłoby siły pojedynczego człowieka, dla braku stósownych materjałów, wszelako czasopisma i roczniki ekonomiczno-statystyczne są jakby początkiem prac podobnych, nigdy jednakże powiedziećby nie można, że są szkołą polską, angielską lub francuzką gospodarstwa społecznego, ale że są nauką gospodarstwa społecznego polskiego i t. d.

Wracając do Lista, musimy przyznać, że cała jego polemika obrachowaną była więcéj na chwilowe znaczenie i na cele praktyczne, aniżeli na postęp teorji.

Wprost przeciwnie rzecz się ma z dwoma ekonomistami dziś żyjącemi, to jest z Brunonem Hildebrandt i Wilhelmem Roscher.

Pierwszy w swojém główném dziele*) niestety niedokończoném, rozebrał krytycznie i bezstronnie znakomitszych ekonomistów, a w licznych monografjach podał wzór traktowania genetyczno-historycznego ekonomji politycznéj.

Rozwijając pojęcie Hoffmanna o różnych fazach gospodarstwa społecznego, oprócz gospodarstwa naturalnego i monetarnego, nie bez wpływu Proudhona i Cieszkowskiego widzi trzecią jeszcze fazę gospodarstwa kredytowego**), chociaż nie zdążył jeszcze podać wszystkich zjawisk ekonomicznych tym trzem fazom właściwych.

Roscher w główném swojém dziele z historji wziął tylko illustracje z faktami teorji, a także i usunięcie z ekonomji prawd bezwzględnych, ale za to w swoich historyczno-ekonomicznych monografjach, zajmujących się zwykle działalnością ekonomiczną znakomitych mężów stanu z przeszłości, a oceniając ich zawsze ze względu na zadania epoki, do któréj należeli, daje dowód prawdziwego rozumienia kwestji.

Do nich należałoby dodać jeszcze imię Rodbertusa, który zarówno do historji należy, jak i do ekonomji. Wszyscy jednak ograniczyli się na wyrażeniu swego zdania o konieczności metody historycznéj w ekonomji, bardziéj przez analogję z szkołą historyczną w prawie, aniżeli przez wzgląd na naturę samą téj nauki, jak została przez Smitha postawioną, to jest jako gałęzi filozofji praktycznéj.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Nationaloekonomie der Gegenwart und Zukunft.

**) Natural, Geld und Kreditwirtschaft. W Jahrbücher für Nationaloeconomie und Statistik, rok pierwszy.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Ciąg dalszy.)

Obrazek drugi.

Od rozbioru kraju.

Zamierzaliśmy mówić tylko o tém, na co się naocznie od roku 1834 patrzało. Wszakże znalazło się w tece naszéj tyle ciekawych szczegółów ze wspomnień i opowiadań z lat ubiegłych, z notat ludzi, którzy żyli i sami działali w epoce poprzedniéj, że niepodobna nam nie podzielić się z czytelnikami temi wspomnieniami. Sądzimy nawet, że grzechem byłoby, mając możność, nie dorzucić choćby i jednego ziarnka do téj skarbnicy wspomnień, należących do dziejów ojczystych.

Niniejszy przeto obrazek poświęcamy epoce porozbiorowéj, do r. 1839. A nie mamy zamiaru pisania historji, lub systematycznego i chronologicznego wykazu wypadków; podajemy niektóre tylko szczegóły, czerpane z wiarogodnych źródeł, oraz wskażemy główniejsze fakta historyczne, dla związku rzeczy koniecznie potrzebne.

I.

Jeszcze w r. 1788 wojska rosyjskie wkroczyły na Litwę i odtąd jéj nie opuściły.

Dnia 18 marca 1793 r. nastąpił drugi podział Polski. Jenerał Kreczetnikow dnia 27 marca ogłosił manifest do ludów zabranych, oświadczając im błogie zamiary Katarzyny II — opiękowania się ujarzmionym ludem prawosławnym. Podług drugiego podziału Rosja zagarnęła województwo Mińskie, Podole, połowę Wołynia, część Litwy i 10 powiatów do Kijowa przyległych, co wszystko wynosiło 4,653 mile kwadratowe, ludność zaś zabranego kraju wynosiła 3,011,628 mieszkańców. Jenerał-gubernatorem mianowany został jenerał Tutołmin. Gubernatorami: Mińskiéj Nieplujew; Zasławskiéj — Szeremietiew; Bracławskiéj — Berchman.

Dnia 19 kwietnia 1794 wybuchło w Wilnie i na całéj Litwie powstanie. Głównym dowódzcą był Jasiński. Załoga rosyjska pod dowództwem jenerała Arsenjewa w Wilnie istniejąca, została rozbrojoną. Wielu poległo, inni w niewolę wzięci. Samego Arsenjewa porwano na Antokolu, w chwili, kiedy się wesoło bawił u pani Wołodkowiczowéj. W kościele św. Kazimierza w Rynku, oprócz Arsenjewa, osadzono półkownika Jazykowa, podpółkownika Robena, 5 majorów, plac-majora, 4 kapitanów, 11 poruczników, 8 podporuczników, 12 kornetów i 964 szeregowców. Jeden tylko major Tuczkow z kilku działami zdołał umknąć, gdyż stał za miastem na Pohulance.

Szymon Kossakowski, wielki hetman litewski, a już jenerał-porucznik w służbie rosyjskiéj, który działał wspólnie z Arsenjewem, został porwany w domu Müllerów przy ulicy Dominikańskiéj, w szlafroku. Adjutant, który go bronił, Rudziński — był zabity, a Kossakowskiego osadzono w więzieniu i w skutek wyroku sądu wojennego dnia 25 kwietnia rozstrzelano w rynku, jako zdrajcę. Utworzono rząd tymczasowy, do składu którego weszli przedniejsi mieszkańcy Wilna i Litwy. Za-

prowadzono porządek największy we wszystkiém. Jasiński stał na czele rządu. Wojskiem dowodził jenerał Mejen.

Rząd narodowy istniał od 19 kwietnia do 31 lipca. Kilkakrotne napady Rosjan były szczęśliwie odparte. Nareszcie 7go lipca znaczne siły Rosjan obległy Wilno z dwóch stron. Jenerał Knorring od Ostréj Bramy, Zubow zaś od gościńca połockiego na Zarzeczu. Wszczął się okropny pożar. Wiele domów i kościołów runęło. Wtedy to Rosjanie zapalili kościół Bernardynów, którego piękna gotycka facjata, jak również jedna z wież, runęły. Zgorzały téż starożytne cerkwie unickie Piacionki i Spaska. Trzy tygodnie bez przerwy trwało oblężenie. Szkody miasta były okropne, ale i Rosjanie nie mało potracili. Razu jednego pułkownikowi Michałowi Iwanowiczowi Diejewowi udało się przejść ze znacznym oddziałem przez Ostrą Bramę — już był w mieście, gdy wtém z okna kaplicy Pociejow przy kościele Ostrobramskim Karmelitów bosych (św. Teresy), karmelita Celica tak trafnie ugodził Diejewa z dubeltówki, że ten padł na miejscu. Popłoch był tak wielki, że Celica zdążył zbiedz na ulicę i zerwać mu z piersi krzyżyk św. Jerzego, który zawiesił w ołtarzu cudownéj Boga Rodzicy, a wisiał tu do dni naszych. Widział go jeszcze dzisiejszy cesarz Alexander II w r. 1858, zapytał się nawet, zkąd pochodzi; — asystujący mu prałat Wróblewski palnął bez namysłu — „to jenerał Rzewuski zawiesił.“ Późniéj jednak Rosjanie zdołali porwać ciało Diejewa — ale i sami z ciałem uciekać musieli, a dopiéro o milę od Wilna, za Niemieżem, przy gościńcu Oszmiańskim, pogrzebli go i pomnik wznieśli, przed kilku laty zrestaurowany.

Drugim razem, kiedy się srożył napad ze strony Rosji, szewc Hornowski, stojąc na murze miejskim po za cerkwią Śgo Ducha, pod noc miesięczną, ugodził w dowódzcę oddziału pułkownika Korowajewa, który był już przedarł się aż na placyk przed kamienicę Misjonarską — Korowajew padł na miejscu, a oddział pierzchnął.

Nie mogli jednak mieszkańcy Wilna, chociaż dali dowody wielkiego męztwa i waleczności, trzymać się dłużéj i przemagająca siła zawładnęła spaloném i zniszczoném miastem dnia 31 lipca.

Wkrótce potém, bo 30 października tegoż 1794 r., chociaż trzeci podział jeszcze nie nastąpił — Litwa podzieloną została na trzy główne prowincje: Wileńską, Grodzieńską i Kowieńską. Książę Mikołaj Repnin mianowany pierwszym jenerał-gubernatorem całéj Litwy.

Dopiéro zaledwo 15go kwietnia 1795 cesarzowa oświadczyła uroczyście swoją wolę względem zagarnięcia Litwy, 20 listopada Stanisław August podpisał zrzeczenie się tronu, a 14go grudnia wydany został manifest o zaborze całéj Litwy.

Była to czternasta część całéj Litwy, a mianowicie województwa: Wileńskie, Trockie, Nowogrodzkie, księstwo Żmudzkie i część Wołynia, która jeszcze nie była zajętą. Przestrzeń zagarniętego kraju wynosiła 2,020 mil kwadratowych, a ludność 1,176,590.

Zrazu utworzono dwie gubernje: Wileńską i Słonimską, ale 12 grudnia 1796 całą tę prowincję połączono pod jeden zarząd (w Wilnie) i nazwano Litewską gubernją. Wszakże pierwéj jeszcze, dnia 3 maja 1795, utworzono odrębnie Mińską gubernję, a już po śmierci Katarzyny, za Pawła, 9 września 1801 r. znowu utworzono dwie gubernje, niezależne od Mińskiéj — Wileńską i Grodzieńską.

Wyliczmy naprzód pierwszych jenerał-gubernatorów Litwy.

Pierwszym, jak już wspomnieliśmy, był feldmarszałek książę Mikołaj Repnin. Rządził on cztery lata, od 30 października 1794 r. do 26 listopada 1798 r. Mało go wszakże znały Litwa i Wilno, gdyż mieszkał najwięcéj w Rydze, będąc zarazem jenerał-gubernatorem Estlandskim i Liflandskim, t. j. mitawskim i ryzkim.

Drugim jenerał-gubernatorem mianowany został jenerał piechoty Moryc de Lassy, wychodziec z Austrji, dosłużył się wysokich rang i znaczenia przy Katarzynie, a potém był ulubieńcem Pawła. Nie długo trwały rządy jego na Litwie, bo tylko jedenaście miesięcy. Dnia 26 października 1799 r. opuścił Wilno. Był późniéj, w r. 1805, feldmarszałkiem i głównodowodzącym związkową armją w Neapolu przeciwko Francuzom. Po przegranéj bitwie pod Austerlic wrócił do kraju i osiadł w gubernji Grodzieńskiéj, w majątku nadanym mu przez Katarzynę. Potomkowie jego i do dziś dnia istnieją w tych stronach.

Po de Lassym od 13 listopada do 19 grudnia 1799 pełnił obowiązki wielkorządzcy jenerał Jan Horycz.

Trzecim z kolei jenerał-gubernatorem był sławny późniéj w dziejach Rosji jenerał Kutuzow-Goleniszczew, od 19 grudnia 1799, po 11 lipca 1801.

Czwartym jenerał Beningsen — do 20 września 1806 roku.

Piątym jenerał krymski Korsakow — do 3 lipca 1809 r.

Po nim (szóstym) powtórnie mianowany Kutuzow i rządził krajem prawie 3 lata, a rządy te były pamiętne na Litwie. Kutuzow odznaczał się dziwną łagodnością w obejściu się, był sprawiedliwy, nie prześladował narodowości polskiéj, sam umiał po polsku, protegował scenę wileńską, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły życia zakulisowego. Wiele ciekawych anegdot o nim opowiadali nam starzy artyści sceny wileńskiéj, a szczególnie Józef Rogowski. „Mosanie, to był pan i miłośnik sceny“ — opowiadał stary weteran — „lubił téż nas bardzo, rad był dopomagać. Byłem, mosanie, żonaty; w zawodzie naszym rozmaicie się zdarza — czasami się pokłócim, a jak kobiéta weźmie na kieł, nie dasz sobie z nią rady. Otóż w takich wypadkach jedyna była ucieczka do Kutuzowa! Ten nas rozsądzi i pogodzi. A i tak, mosanie, zdarzało się, że ja wchodzę do hrabiego przez główne drzwi, ma się rozumieć bez żadnych meldunków, nie tak, jak to u was teraz się dzieje, mosanie; aż w téj saméj chwili i moja imość wpada do gabinetu bocznemi drzwiami — no, i bywały tu sceny nie nader miłe — bo w obecności pana jenerała imość aż do czupryny mojéj dobierała się.“ — Widzieliśmy u tegoż Rogowskiego korekty Kurjera Litewskiego ze sprawozdaniami o przedstawieniach teatralnych, poprawiane własnoręcznie przez Kutuzowa po polsku.

W marcu 1811 r. hrabia Kutuzow, późniejszy książę Smoleński, mianowany został naczelnym wodzem mołdawskiéj armji; wszakże nie opuścił stanowiska swego jako litewskiego jenerał-gubernatora, podczas zaś jego nieobecności obowiązki pełnił jenerał Gurjew, ale wszystkie ukazy i rozporządzenia rządowe zawsze adresowane były na imię Kutuzowa. W końcu, kiedy po skończeniu tureckiéj wojny, Kutuzow miał wziąć udział w pamiętnéj wojnie z Napoleonem, rozstać się musiał ostatecznie z Wilnem ulubioném i na jego miejsce, dnia 17 kwietnia 1812 r. mianowany był siódmym litewskim jenerał-gubernatorem powtórnie jenerał Korsakow krymski. Piastował on tę godność aż do samego powstania, po dzień 24 grudnia 1830 r., t. j. przeszło lat 18.

Ósmym jenerał-gubernatorem, w czasie samego powstania, był jenerał Mateusz Chrapowicki, od dnia

24 grudnia do 23 sierpnia 1831, a po nim właśnie nastąpił książę Mikołaj Dołhoruki, dziewiąty jenerał-gubernator litewski, a pierwszy, który się zaczął tytułować wileńskim, grodzieńskim, białostockim i mińskim jenerał-gubernatorem.

O Dołhorukim mówiliśmy już w pierwszym obrazku. Wrócimy jeszcze do niego w dalszym ciągu opowiadania naszego, a teraz wskażmy znaczniejsze wypadki z owéj epoki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z książki wspomnień.

Westchnienie.

Czy ja zobaczę cię jeszcze na ziemi
Aniołku z włosami jasnemi —
Jakem cię widział w ów jasny ranek
Bieluchną — z po za białych firanek?
Rumieńczyk, jak różowy obłoczek
Pod rzęsami twych błękitnych oczek
Drżał wstydliwie — i wzrok twój nieśmiały
Za negliżyk wstydził się — za biały.

Ciepła jeszcze ze snu twoja mała
Na dzień dobry rączka mnie witała.
Krótka była tego szczęścia chwila —
Jednak przez burz i przez smutków tyla
Świeci dla mnie jak gwiazdka w pomroku.
Patrzę na nią z łzą radości w oku,
I pytam się cichy i nieśmiały,
Czy cię ujrzę znów aniołku biały?

Michał Bałucki.

Obyć się, obejść się.

Pod tym napisem bezimienny autor, mając wzgląd na coraz większe każenie języka naszego przez autorów mało dbałych o jego poprawność, umieścił rozprawkę w num. 46 Tygodnika Wielkopolskiego, dowodząc, że nawet znamienici pisarze, których z kolei wymienia, używają wielekroć wyrażenia obejść się bez czego, zamiast obyć się bez czego. Wyrażenie takie uważa za błędne, bo za przeciwne duchowi i czystości języka polskiego.

Na poczciwą myśl Sz. autora zgodzi się zapewne każdy, bo jeżeli władzom krajowym głównie chodzi o nauczanie panującego języka, a nasz narodowy rugują nawet ze szkół elementarnych, rzeczą jest przedewszystkiém pisarzy tegoczesnych polskich, aby pisali i drukowali poprawnie i chronili język od obcych naleciałości i niewłaściwych temu językowi zwrotów. Kto przeciw téj powinności wykracza, zasługuje, aby mu błąd publicznie wytknięto, by i drugich nim nie zarażał i sam się poprawił. Wszelako, kto bierze na siebie ten w naszych stosunkach arcypożyteczny urząd trybuna językowego, znać ten język musi dokładnie i ucho mieć zaprawione na jędrnéj, czystéj i poważnéj mowie pisarzy Zygmuntowskich, by od razu odczuć dissonanse, duchowi téj mowy przeciwne.

Nie powiem, aby Sz. autor przytoczonego w numerze 46 artykułu, przekonał któregokolwiek z wymienionych przezeń pisarzy, jeszcze żyjących, że popełnili błąd przeciwko duchowi języka polskiego, którego się na przyszłość wystrzegać powinni. Gdyby Sz. autor był zajrzał choćby tylko w słownik Lindego, byłby się przekonał, że już w pierwszéj połowie XVIII wieku Stanisław Lubomirski używał wyrażenia obejść się bez czego, n. p. człowiek się bez człowieka obejść nie może, a następnie Knapski w Adagiach, w Teatrze polskim, którego wyszło 56 tomów, oraz w Compendium medicum z r. 1767 wielekroć używano zamiast obyć się bez czego, obejść się bez czego, n. p. łatwiéj się jest bez zębów obejść, niż bez chleba.

Być bardzo może, że w pisarzach złotego wieku piśmiennictwa naszego nie natrafimy na przykład takiéj zamiany obyć się na obejść się. Ale skoro tacy znawcy języka polskiego jak Linde i Knapski przyjęli w słownikach swoich wyrażenie się obejść się bez czego jako czysto polskie, trudno zarzucić pisarzom tegoczesnym niepoprawność języka i błąd nagany godny, jeżeli się w taki sam sposób wysłowili, jak pisarze ośmnastego wieku.

Sz. bezimienny autor byłby nam powinien dowieść, że wyrażenie obejść się bez czego, jeżeli nie jest cudzoziemczyzną, a tą przecie nie jest, to zawsze kaleczy tok mowy polskiéj. Dowodu tego Sz. autor nam nie dał. — Jeżeli tego rodzaju wyrażenie się nastąpiło dopiéro w pierwszéj połowie ośmnastego wieku i użytém było przez pisarzy takich jak Stanisław Lubomirski, musiało ono wypłynąć z należytego pojęcia ducha polszczyzny; boć powstało i przyjęło się za czasów niepodległości Polski. Jakoż wchodząc bliżéj w rzecz, nie widzimy tu wcale takiéj błędnéj sprzeczności, jaką autor zauważył. Wyraz iść, jak u innych narodów równoznaczne wyrazy, najrozmaitszym uległ znaczeniom, tak dalece, że się w nim pierwotne znaczenie chodzenia prawie zupełnie zatarło; n. p. iść za mąż, iść za czyją nauką, iść za chlebem, za szczęściem; gra idzie o co? o co idzie? idzie o mój honor i t. p. Z tego wypada, że i w wyrazie obejść zaciera się pierwotne znaczenie chodzenia w okół a pozostać może znaczenie zbliżone do obyć się bez czego, to jest chodzenia bez czego, obejścia się bez czego.

Zastanawiając się bliżéj, nie jest to prosta zamiana jednego wyrażenia na drugie, ale zachodzi pewna różnica między obędę się bez czego a obejdę się bez czego. Pierwsze jest mocniejsze, stanowcze, bo chodzi o byt; drugie słabsze, chwilowe, do przemiennych okoliczności zastósowane, n. p. obędę się bez wieczerzy, znaczy obywanie się na dłuższy czas n. p. w chorobie, w więzieniu; obejdę się bez wieczerzy znaczy na dziś, na pewien raz. Są to delikatniejsze odcienia, na które przy głębszéj rozwadze trafić można, choć może nie zawsze należycie są przestrzegane.

Dr. Libelt.

MAM DWA DOMY.

Fraszka sceniczna w 3 aktach

przez

Włodzimierza Wolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Pan Damazy.

Nawet wzmianeczki o istnieniu spadku zamieścić, gdyż listy rozpieczętowywano na poczcie, jak może poświadczyć kochany profesor i Kajcio. Powołując się na świadectwo wyż wzmiankowanych przyjaciół, za samo podejrzenie komunikowania się...

Profesor.

Znoszenia.

Pani Damazowa (n. s).

Ach ten nudziarz!

Pan Damazy.

Znoszenia z emigrantem danoby dymisję, wpakowano do kozy i wysłano w śniegi.

Kajetan.

Mówiąc prawdę, danoby może. Bacząc wszakże, że nie ma reguły bez wyjątku, jeden z kolegów naszych biórowych zdołał pocztą przesłać pieniądze krewnemu na emigracji.

Pani Damazowa (n. s.)

Papla, sroka! Czy oszalał?

Profesor (n. s.)

Imiesłów osobliwy zdradza dawną chorągiew. (Głośno). Nie przerywajmy panie Kajetanie.

Pan Damazy (n. s.)

Poczciwy profesorek.

Wojciech.

Aborduj-że siużet, Damazy, i maszeruj do konkluzji!

Pan Damazy.

Otóż — najukochańszy Wosiu — wyż wspomniana sumka w ilości 5,000 złp., licząc po 4%, jak zwykle od listów zastawnych, urosłaby dzisiaj do 8,000; licząc zaś honorowie, jak ja liczę, po 5% — wynosi 8,750 złp czyli 1318 rubli, 70 kop.

Kajetan (z cicha do profesora).

Przypuszczając, że tak niski procent pobierał, wszakże procent przyrastając do kapitału...

Profesor (tak samo).

Bardzo dobrze. — Poczekajmy, niech się zupełnie wyjęzyczy.

Pani Damazowa (n. s.).

Co ten głupi Kajetan szepta już powtórnie do profesora.

Pan Damazy.

Sumę tę — w listach zastawnych najsumienniéj i najhonorowiéj dochowaną, właśnie przyniosłem. (Pokazuje listy). Według woli twojéj, Wosiu, albo do dalszego rozporządzenia, na tenże sam procent, nawet na 6% u siebie zachowuję, albo też ci natychmiast zwracam w obec Pelci, szanownego profesora i kolegi Kajetana, proszę policzyć.

Wojciech.

Ma foi — wierzę.

Pan Damazy.

Najukochańszy bracie! Za najszczęśliwszą z chwil najszczęśliwszych w życiu poczytuję, to jest poczytujemy z Pelcią niniejszą, kiedy ci zwracamy własność, najhonorowiéj dochowaną. Przekonać się powinieneś, jak-eśmy zawsze szczerze i po bratersku cię kochali. (Ciska mu się na szyję).

Pani Damazowa (całuje Wojciecha w czoło).

Pan brat nie wątpi pewno o naszém sercu.

Wojciech (n. s,)

Ach — miusk — pest! (Głośno). Dziękuję bardzo, kochani braterstwo, za konserwowanie tych pieniędzy, tém więcéj (patrząc na profesora) że dopiéro dzisiaj dowiaduję się o ich egzystencji.

Profesor.

Bardzo dobrze.

(Wojciech wstaje nagle i wybiega na przód sceny).

Pani Damazowa.

Co to panu bratu?

Wojciech

Migrena, miewam czasem nagłe ataki.

Pan Damazy (z cicha).

Wzruszenie — poczciwy Wosio!

Wojciech (n. s.)

Przez lat 25 znajdując się w tylu najokropniejszych pasażach, nie dysponowałem nigdy większą na raz sumą jak 300 fr. i — ma foi — bardzo rzadko jeszcze. Nagle spada mi masa monako. (Po chwili). Chociaż znajduję się w kraju, w ojczyźnie, do któréj cierpiałem nostalgję, ciężar jakby tysiąca kilo przygniata mi piersi. Parno mi, duszno. (Nagle). Ma foi, wiem co zrobię. (Głośno). Lepiéj mi.

Pani Damazowa.

Może wody z cukrem.

Kajetan.

Przylepiając do skroni plasterki od cytryny, bardzo dobre na migrenę.

Wojciech.

Merci, merci! Kochany Damazy! Nie mając żadnéj idei o tych waszych listach zastawnych, rublach i kopiejkach, wolałbym mieć te pieniądze w papierze — monnaie i niumererze.

Profesor.

Papierami i gotówką.

Kajetan (n. s.)

Lubi pieniążki jak Damazy. (Głośno). Pan kapitan życząc żeby zmienić, ofiaruję się pójść do znajomego kasjera.

Pani Damazowa (n. s.)

Czego się niedołęga ten wtrąca!

Pan Damazy.

Przecie nie zaraz, nie dzisiaj, braciszku?

Wojciech.

Owszem — mam pewne rezą, żeby dzisiaj, jeśli można zaraz, bo chciałbym rozporządzić niektóre depanse.

Profesor (n. s).

Nie domyślam się — co za powód pospiechu?

Pani Damazowa (do męża).

Jeśli pan brat życzy sobie...

Pan Damazy.

To i owszém, Wosiu, zaraz ci odrobię ten interesik. (Odprowadza Damazową na stronę — z cicha). Domyślam się, zobaczysz, jakie ma poczciwe serduszko i jakie na począteczek prezenciki dla ciebie, dla Ciuni, Fipcia, Kloci i Klimci.

Pani Damazowa (tak samo).

Co do panny Klementyny — nie wiem, ale my — czy nie zasługujemy — kotku? Spadek, o którym nie wiedział, który moglibyśmy zataić, zwrócić tak uczciwie.

Pan Damazy.

I honorowie. Prezenciki na początek — a potém — rozumiesz aniołku? potém to już twoja główka. (Głośno). Zaraz wracam z gotówką. W te pędy, Wosiu, w te pędy.

Kajetan (do Wojciecha).

Jeśliby pan kapitan życząc jakich sprawunków, potrzebował kogo, służę panu kapitanowi dobrodziejowi, wiedząc gdzie tanio i w dobrym gatunku nabyć można.

Wojciech.

Nic pressé, mój panie!

Pani Damazowa (n. s.)

Co ten Kajetan włóczy się ciągle za profesorem i kapitanem jak ciele za krową?

Scena XV.

Ciż, Klimcia, Kasia i Stanisław.

Klimcia.

Już wszystko gotowe — proszę stryjenki.

Pani Damazowa.

Dazio wyszedł — chwilkę poczekamy.

Wojciech.

Poczekamy. (N. s.) I jeszcze kogoś zaprosimy.

Kasia (do pani Damazowéj).

Proszę pani resztę — wydałam dwa złote i trzy dydki, kupiłam cytwarowego piernika dla Kloci i Ciuni, dla Fipcia chleba świętojańskiego...

Pani Damazowa.

Dobrze — potém. (Z cicha). Nauczę ja cię za takie prasowanie, aż mnie ruski miesiąc popamiętasz — idź — pilnuj kawy! (Kasia odchodzi — pani Damazowa liczy pieniądze).

Klimcia (która przez ten czas rozmawiała z Wojciechem i profesorem n. s. smutno).

Więc jeszcze nic — mój Boże! a czy stryj zdoła wymódz na Damazym i stryjence?

Stanisław (uchyla drzwi i chwyta Wojciecha za poły).

Na miłość Boską, kapitanie, umieram z niecierpliwości...

Wojciech.

Ma foi — wejdź — ułanku!

Kajetan (odstępując parę kroków).

Widząc jak spojrzała na niego panna Klementyna — zginąłem.

Wojciech.

Wejdź!

Profesor.

Bardzo dobrze. (Wskazując na Damazowę, zamyka Stanisławowi drzwi pod nosem).

Pani Damazowa (odwracając się).

Czy tu kto wchodził?

Profesor.

Paullatim summa petuntur. Powoli dochodzi się do wszystkiego.

Pani Damazowa (n. s.)

Fajczarz ten powie zawsze jakie głupstwo, którego nie rozumiem.

(Zasłona spada).

Akt III.

(Dekoracja ta sama).

Scena I.

Kajetan — sam (chodząc zamyślony).

Mój Boże! Damazowstwo zabierając zawsze wszystko przeznaczone dla panny Klementyny, która nie chciała przyjmować; Damazowstwo łudząc mnie tylko, tudzież namawiając na intrygę a potém zdradzając (bo tylko oni jedni mogli zdradzić); narażając niemniéj na strwonienie kilkuset przynajmniéj złotych, skompromitowali, zgubili... Przeczuwając, że gotowi zezwolić na ślub Stanisława, co ja pocznę nieszczęśliwy? Prawdę mówiąc, nigdy im nie daruję, a kochając się w pannie Klementynie tak istotnie, tak na prawdę, gdybym listem bezimiennym przestrzegł kapitana o Stanisławie, o Damazych? (Po chwili). Za późno, bacząc mianowicie, że napisanie listu sporoby czasu zajęło. Mój Boże, mój Boże! (Nagle). Może jeszcze ślub się odwlecze, uwzględniając zwłaszcza, że mi profesor przyrzekł pomódz... Pani Rachmistrzyni nadchodzi. Nie pragnąc wdawać się w żadne rozmowy. (Pani Damazowa wchodzi). Wierszyki zaraz gotykiem i rondem. (Wybiega).

Scena II.

Pani Damazowa.

Nie o tém mowa, panie Kajetanie! (Woła). Panie Kajetanie! (Po chwili). Nie słyszy, może nie chce słyszeć. (Patrząc przez okno). Poszedł na ganek łasić się profesorowi i kapitanowi. Nie darmo szeptał z profesorem i znacząco spojrzał na kapitana, wspominając o koledze, co emigrantowi wysłał pieniądze! Lizus! Przypodchlebia się, myśląc, że go będzie popierał u téj błażnicy Klementyny. Wara — lizusie! Jeżelibyś się do niéj mógł dostać, to jedynie (wskazując na siebie) przez te rogatki. (Po chwili). Ciekawam co za prezent od kapitana dostanę? Ręczę, że piękny, bo wojskowi zawsze grzeczniejsi od cywilnych, a kapitan wydaje mi się bardzo poczciwym człowiekiem. (Po chwili). Rozważymy potém z Daziem kategorycznie, jak dalsze interesa pokierować i musimy, koniecznie musimy pojechać do Paryża. Będziemy mięszkali w domu kapitana jakby we własnym. Ani pani Naczelnikowa, ani pani Kontrolerowa, ani nawet pani Radczyni jeszcze nie jeździły do Paryża, a ja otóż pojadę. (Zbliżając się do okna). Szepcze z profesorem, kłania się i obciera rękaw Wojciechowi — lizus ten! (Po chwili). Coś się jednak święci, coś się kluje między nimi — czego nie wiem. Muszę ich tutaj sprowadzić, może się wypaplają. Z kancelarji mężowskiéj słychać wszystko doskonale. (Otwiera okno). Niech się panowie raczą pofatygować na kawę, Klimunia już wszystko przygotowała.

Scena III.

Pani Damazowa — Wojciech — Profesor — Kajetan.

Wojciech.

Poczekajmy-ż moment na Damazego — kochana bratowo!

Profesor.

Oczéwiście.

Wojciech.

A ja prosiłbym bratowéj zaakordować mi jeszcze

jednę łaskę i zainwitować także do naszéj sosjete pana Stanisława, żebyśmy razem pokozowali.

Profesor (n. s.)

Poczerwieniała jak kwiat piwonji.

Kajetan (n. s.)

A — mój Boże!

Pani Damazowa.

Pana Stanisława? (N. s.) Co tego — to zanadto! (Po chwili). Wprawdzie wyjeżdża za parę dni, kapitan prosi, Kajetan zębami zgrzyta. (Głośno). Jeśli pan brat koniecznie życzy... To — faworyt pański.

Wojciech.

Wydaje mi się poczciwy chłopak.

Pani Damazowa (udając że się przesłyszała).

Zapewne — dosyć przystojny. Niechże się tu panowie rozgoszczą, palą! Okno otwarte — Dazio wróci niebawem.

Scena IV.

Ciż — pani Damazowa we drzwiach na lewo.

Kajetan (n. s.)

Odważnie, śmiało! Profesor przyrzekając że mnie poprze — śmiało, odważnie! (Głośno). Panie kapitanie, panie profesorze! Odzywając się do ludzi honorowych i licząc, że co powiem, zostanie w tajemnicy.

Pani Damazowa (we drzwiach).

W tajemnicy?

Profesor.

Tajemnica możliwa tylko między dwoma, nie sądzę, żebyś pan miał do mnie jaki interes — bardzo dobrze. Więc zostawiam panów. (Szybko odchodzi).

Scena V.

Ciż — prócz Profesora.

Kajetan (za odchodzącym).

Panie profesorze! Owszém — zaklinając. (N. s.) Odszedł — niestety! Prawdę mówiąc, jak tu zacząć?

Wojciech (n. s.)

Ma foi — czego ten gutaperka chce odemnie?

Katetan.

Panie kapitanie! (Czyści kołnierz Wojciechowi).

Wojciech.

Co?

Kajetan.

Trocha włosów na kołnierzu. (N. s.) Odważnie, śmiało! (Głośno). Panie kapitanie! Wiedząc, że Stanisław oświadczył się panu o rękę panny Klementyny.

Pani Damazowa (n. s)

Proszę — pospieszył się szlifibruk.

Wojciech.

Zkąd pan wiesz?

Kajetan.

To jest nie wiedząc a domyślając się, będąc zaś istotnym, niewygasłym wielbicielem pańskiéj synowicy, chociaż teraz wiem — niestety — że mi wcale nie sprzyja, mimo to pozostając najżyczliwszym, śmiałbym w zaufaniu przestrzedz pana kapitana, że Stanisław wprawdzie ułożył się niby teraz i przeciw jego honorowi nic nie mając do nadmienienia, w gruncie jednak wielki z niego birbant i letkiewicz. Bałamucił przedtém parę panienek na mieście (zaręczając za to słowem honoru) a co najgorsza straszliwy utracjusz.

Pani Damazowa (n. s.)

Doskonale. Poczciwy pan Kajetan.

Wojciech.

Eh bien — cóż daléj?

Kajetan (n. s.)

Dziękując Bogu, słucha jakoś. (Głośno). Utracjusz, tudzież fanfaron tak dalece, że, wiem, gotówby nie dopominać się o posag, aby tylko Damazowstwo na ślub zezwolili.

Pani Damazowa (n. s.)

Co słyszę? Szlifibruk szczerze w téj błaźnicy zakochany.

Kajetan.

Nic nie posiadając samemu, czy godzi się rozporządzać cudzą własnością, bacząc mianowicie, że to własność panienki, którą się kocha?

Pani Damazowa (n. s.)

Lizus! Osioł!

Kajetan.

Nie wiedząc w jaki sposób pan kapitan, ale ja — przez całe życie pracując i grosz do grosza składając, uważam taką fanfaronadę za głupstwo niegodziwe; bacząc mianowicie, że skoro tylko Stanisław nie ma pieniędzy, to jest kilka razy na tydzień, zaraz się na lewo i na prawo po same uszy zadłuża. Prawdę mówiąc, samemu można żyć jak się podoba — ale — panie kapitanie — cóż to za los dla panny Klementyny z takim marnotrawcą i letkiewiczem?

Wojciech.

Do konluzji prędzéj!

Kajetan.

Przypuszczając, żeby pan Damazy, mając wyborną głowę do interesów i potrafiąc lokować, jak zechce, wszystkie pieniądze, złożone u siebie, na procent znacznie wyższy niż 5—10 a nawet 12%; bacząc mianowicie, że dzisiaj nikt już nie zadowalnia się procentem 5 a nawet 7%...

Pani Damazowa (n. s.)

Pies nikczemny! Poczekaj!

Wojciech.

Eh bien — przypuszczając, żeby Damazy...

Kajetan.

Przypuszczając, żeby od 12,000, jakie ma u niego panna Klementyna, płacił im nawet po 10%, to jest 1,200 złp. rocznie — cóż to znaczy?

Pani Damazowa (n. s.)

Zbrodniarz, zdrajca!

Kajetan.

Panna Klementyna tak starannie i delikatnie będąc wychowaną, potrzebując wygód, pielęgnowania, dostatku, cierpiałaby koniecznie z tak małym dochodem, doliczając nawet lichą pensyjkę Stanisława, wielki niedostatek. (N. s.) Słucha! (Głośno). Tymczasem ośmielając się nadmienić, gdyby rządny jaki i uczciwy człowiek posiadając nieco swojego a kochając istotnie i na prawdę pańską synowicę (bo któżby jéj nie kochał?) podniósł te 12,000 złp.

Pani Damazowa (n. s.)

Szubienicznik!

Kajetan.

W takim razie...

Wojciech.

Basta! Z tego wszystkiego, coś mi tu pan wyparlował, widzę, że chociaż musisz mieć przynajmniéj czterdzieści lat — n'est-ce pas?

Kajetan.

Wyznając prawdę, trzydzieści dziewięć.

Wojciech.

Respektabl porcja i masz się sam za malin,

za chytrego a napłatałeś najokropniejszych sotiz, głupstw — i może co gorszego.

Pani Damazowa (n. s.)

Doskonale.

Kajetan.

Śmiąc zapytać — jakto?

Wojciech.

Sam pan mówiłeś, że adorujesz Klimcię. — Naturalnie więc chcesz zaszkodzić szczęśliwszemu rywalowi i pleciesz mi na niego szkaradne kalumnje.

Kajetan.

Dając słowo honoru panu kapitanowi.

Wojciech.

Ma foi — mój panie. — Człowiek mogący intrygować u loretki jakiegoś Mocha Radcy Stanu przeciwko rodakowi, niech nie wyjeżdża z honorem!

Kajetan (n. s.)

A mój Boże! Wszyscy wiedząc, zginąłem.

Pani Damazowa (n. s.)

Zkąd się kapitan dowiedział? Pewno wygadał się niedojda.

Wojciech.

Człowiek, co najmuje od tylu lat kartje u moich braterstwa i niby przyjaźni się z nimi, a robi mi o nich tak nizkie insynuacje.

Pani Damazowa (n. s)

Poczciwy pan Wojciech.

Kajetan (nieśmiało).

Jakto? insynuacje?

Wojciech.

Nie graj pan komedji! Zrozumiałem parfaitement owe procenta, zrozumiałem insynuacje, że kapitalik Klimci i mój więcéj raportował Damazym niż mi powiedzieli. — Nie cierpię babskich kankanów, niegodnych mężczyzny i gdybym był na miejscu Stanisława albo Damazego, zaręczam panu, żebym cię potrafił od intryg i kalumnjowania oduczyć raz na zawsze.

Pani Damazowa (n. s.)

Kajdaniarz — Kajetan.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Karol Forster: Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830—1. Rys historyczny, poparty papierami generała hr. Krukowieckiego, przedostatniego prezesa Rządu Narodowego. Berlin. 1873.

Gdy r. 1831 Warszawa wpadła w ręce nieprzyjaciela, rozległ się po całym kraju krzyk bolesny, rozpaczny — „Zdrada!“ Pokonany naród szukał sprawców swéj niedoli, by na nich zwalić winę i przekleństwo; — ciemny, nieświadomy tajnych sprężyn, które poruszały rewolucją, pochwycił w przelocie imię Krukowieckiego i piętno zdrady na niém wycisnął.

Jak w początkach powstania niesłusznie mazury komponował i nucił na cześć Chłopickiego, tak z podobnąż pohopnością i nieznajomością rzeczy śpiewał na nutę owych mazurów: pohybel Krukowieckiemu — a cały szereg pisarzy mu wtórował.

Trzecie od owych czasów już dorasta pokolenie a na Krukowieckim ciąży jeszcze przekleństwo narodu.

Jedną z głównych przyczyn tego objawu jest bezwątpienia stanowisko polityczne, jakie zajmujemy pod trzema zaborami, nie dozwalające nam mieć wszechpolskich poglądów a wyrabiające natomiast, kierowane prowincjonalnemi zapatrywaniami, zdania; — nie mniéj ważnym powodem jest chorobliwy ustrój naszego rozćwiertowanego społeczeństwa.

Ile, — dla jakiéjś źle pojętéj, świętéj zgody, dla różnorodnych względów w obec swoich i obcych — przemilczano imion i nazwisk w dziejach naszych, ile faktów przeistoczono lub do stronniczych zapatrywań naciągano, ile zbrodni publicznych otoczono łagodzącemi okolicznościami, — przekona się ten, kto sumiennie i bezstronnie badając źródła naszéj dziejowéj przeszłości, na rzeczy patrzy bez żadnego uprzedzenia i nie przyjmując bezwzględnie utartego sądu o faktach i ludziach, sam sobie wyrobi zdanie oparte na danych, jakie mu dziejopisarstwo tak nasze jak obce nastręcza.

Od kilku wieków bałamucono nas, oszukiwaliśmy siebie samych, wmawiając w siebie przymioty i cnoty, którychby trudno i bardzo rzadko można się dopatrzeć, — uważaliśmy i uważamy za najgorliwszych patrjotów tych, którzy nam najwięcéj schlebiają, potępiamy i błotem nieraz obrzucamy niewinnych i zamykamy usta tym, którzy nam chcą wypowiedzieć całą prawdę, choćby gorzką i niepochlebną. I że pod takiemi warunkami wyrodzić się u nas musiala opaczna i przewrotna opinja publiczna, nie dziwić się temu.

Przeciw zapadłemu wyrokowi ogółu w sprawie Krukowieckiego wystąpił po raz pierwszy Karol Forster w ogłoszoném r. 1853 dziele „La Pologne“, tworzącém tom dziesiąty zbioru „L'Univers Pittoresque“, które pewną niechęć wywołało w Adamie ks. Czartoryskim, byłym prezesie Rządu narodowego, i Władysławie hr. Zamojskim, byłym szefie sztabu korpusu Romaryna, widocznie dla tego, iż wykazuje, „że generał Romaryno oddalił się od Warszawy bardziéj, niż miał na to rozkaz; i że po odebraniu rozkazu do szybkiego powrotu, nieposłuszny swéj Najwyższéj władzy, odmówił powrotu i późniéj pomaszerował do Galicji broń tam złożyć.“

Obaj ci dostojnicy znajdowali się wówczas przy korpusie Romaryna. Ks. Czartoryski jednak pisząc z Lipska d. 23 października 1831 do kasztelana Niemcewicza*), ubolewa nad tém, że Romaryno nie odebrał żadnego rozkazu do spiesznego powrotu do Warszawy. Dziwi się téj nieznajomości rzeczy Karol Forster, lecz nie przypuszcza, by ks. Czartoryski mógł był napisać, rzecz, któraby nie zgadzała się z istotną prawdą.

Oparty na własnych spostrzeżeniach i na nieznanych dotąd dokumentach, które zajmują trzecią część dzieła o powstaniu Narodu polskiego, podejmuje się autor dziś powtórnie bronić sprawy niesłusznie potępionego generała Krukowieckiego. W tym celu rozpatrzywszy się w czasach przedrewolucyjnych, brzemiennych spiskami i tajnemi towarzystwami, opisuje wybuch nocy 29 listopada. Oddając przy téj sposobności słuszne pochwały Wysockiemu jako żołnierzowi, pociąga go do odpowiedzialności za to, że będąc główną sprężyną wybuchu rewolucji, ani nie stanął na czele w dalszym jéj rozwoju, ani obmyślił takich środków, któreby udaremniły zabiegi jéj przeciwników.

*) Album muz. narodowego w Rapperswyl, str. 132. Poznań. J. K. Żupański.

I w rzeczy saméj każde powstanie przywódzców swoich przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, rekrutowaćby powinno z pośród swych dzieci; powstanie zaś, które się posiłkuje schodzącą z sceny publicznéj generacją, rodzi się z zarodkiem śmierci. Starzy ludzie zwykle inaczéj czują, inaczéj działają, inaczéj patrzą na rzeczy, innym hołdują ideom. Rewolucja, która z własnego łona nie wyda sobie koryfeuszów, upaść musi koniecznie. Tak też było w r. 1830. Dokazawszy cudów waleczności, wyparłszy cudzą załogę z Warszawy, zamiast ogłosić rząd rewolucyjny i stanąć na jego czele, szukali powstańcy schodzącego już z widowni generała Chłopickiego, który usłyszawszy w teatrze okrzyk patrjotów do broni, uciekł i starannie się odtąd ukrywał, a odpowiedziawszy powstańcom kilkakrotnie, że nie przyjmuje nigdy żadnéj władzy z ręki buntowników, uległ wreszcie wpływom wstecznego księcia Lubeckiego, odegrał przypadającą nań rolę w komedji dyktatorskiéj „tracąc czas drogi na niczém" — i usunął się zupełnie od wszelkiéj styczności z reprezentacją narodową.

Nastąpił tedy drugi i trzeci akt komedji, która w téj fazie swego rozwoju już zapowiadała rozwiązanie tragiczne, — mówię tu o zamianowaniu naczelnym wodzem Michała ks. Radziwiłła a po nim Skrzyneckiego.

„Pierwszym czynem, pisze autor na str. 45, generała Skrzyneckiego było usunięcie od komendy w wojsku (czynném) zasłużonego generała Krukowieckiego, którego on dawniéj był podkomendnym, a którego energja była mu nie na rękę."

Skrzynecki nie będąc ani dzieckiem rewolucji, ani odpowiednio uzdolnionym, jakkolwiek mógł był naprawić wiele złego poprzednich rządów, chorował na dyplomatę i tęsknem okiem wyglądał ku zachodowi, zamiast kraj oczyszczać z nieprzyjaciela.

Gdy niedołężne prowadzenie wojny niepokoić zaczęło Warszawę, a Sejm deputację ze swego łona, jak niegdyś senat rzymski do pokonanego pod Kannami Terencjusza Warrona, do oskarżonego naczelnego wodza wysłał z powinszowaniem, że nie rozpacza o narodowéj sprawie, wówczas wywarł Skrzynecki „zemstę na wojennym gubernatorze Warszawy, Krukowieckim, który potwierdzając wiadomości dostarczone przez Prądzyńskiego, pierwszy przedstawił niezdolność naczelnego wodza i potrzebę zastąpienia go innym, więcéj oddanym sprawie i czynniejszym zarazem. Krukowiecki został poświęcony osobistéj zemście.

Szanse wygranéj przechylały się już na stronę rosyjską, gdy ostatecznie zgodzono się na odwołanie Skrzyneckiego i powierzenie głównego dowództwa Dembińskiemu, który w przemowie swéj do wojska oświadczył pomiędzy innemi, „że będzie wstępował w ślady swojego poprzednika", co chyba przepowiadać miało upadek powstaniu.

I Dembiński nie zażegnał wiszącéj nad Warszawą burzy. Prądzyński zaś, niezaprzeczonych zdolności generał, nie przyjął ofiarowanéj mu buławy naczelnego wodza.

W dniu 15 sierpnia padło w stolicy kilka ofiar w skutek ulicznych wybryków zaniepokojonego wypadkami ludu. „Czterech saperów wpadło szybko przed innymi do domu, w którym mieszkał Lessel, i już go chwycili za barki, kiedy nagle ukazał się tam generał Krukowiecki. Piorunowym głosem nakazał napastnikom ciągnąć losem, który (z nich) odpowie za wszystkich. Posłuchali w milczeniu, i ten który wyciągnął fatalny węzeł, został natychmiast rozstrzelany. Przerażony taką stanowczością generała, oddział ten pospólstwa rozproszył się w milczeniu."

„Jutrzenka dnia 16 sierpnia zastała generała Krukowieckiego na koniu w pośród wzburzonych fal ludu i gwardji narodowéj. Władza była obaloną, Krukowiecki ją podniósł, i sam w téj chwili miał ją w ręku w rozburzonéj do gruntu stolicy."

Z téj to chwili Krukowiecki powinien był korzystać a nie czekając, aż go połączone Izby obiorą prezesem Rządu narodowego, ogłosić się dyktatorem i po dyktatorsku rzeczy daléj prowadzić. Zamiast tego, w obec naglącego ze strony najazdu niebezpieczeństwa i wzmagających się niesnasek domowych, uległ Krukowiecki, chcąc pogodzić wszystkie stronnictwa i wszystkie oszczędzać.

Od chwili, gdy się zrzekł samoistnego działania, można go tylko za to pociągnąć do odpowiedzialności; za następujące zaś wypadki, które były naturalnym wynikiem rządów Chłopickiego i Skrzyneckiego, odpowiadają stosunkowo wszystkie współdziałające z Krukowieckim lub bez niego czynniki.

Upadła Warszawa, a Krukowieckiego nazwano zdrajcą. „Opinję tę publiczną, pisze autor na wstępie, str. IX, niegodnie oszukano, skrzywiono i w błędzie dotąd utrzymywano, aby nie przyznać, żeśmy ulegli sile, i skutkom własnych niezgód, intryg i niesforności. Każdy prawie u nas jest dotąd w przekonaniu, że generał Krukowiecki zdradził sprawę narodową; że poddał Warszawę samowolnie, i że podpisał kapitulację! — Otóż to wszystko jest kłamstwem, rozpuszczoném i starannie żywioném tak przez różne stronnictwa w kraju i na wychodźtwie, jak i przez niektórych ówczasowych kandydatów do władzy, zawiedzionych w swych osobistych rachubach. — Generał Krukowiecki nietylko ani jednego ważnego kroku nie robił bez poprzedniego upoważnienia Sejmu, ale nie poddawał samowolnie Warszawy i nie podpisał kapitulacji, ponieważ w téj ostatecznéj chwili już nie był prezesem Rządu narodowego, który to urząd objął p. Bonawentura Niemojowski, wice-prezes Rządu, sternik partji Kaliskiéj w sejmie, podminowujący ciągle tegoż generała; a kapitulację, kiedy się w tym arcy-ważnym momencie ten nowy prezes rządu uważał za stósowne ulotnić, po naradzie obecnych wówczas generałów: Izyd. Krasińskiego, Dembińskiego, Andrychiewicza i innych, oraz nowego wice-prezesa rządu narodowego, pułkownika Zielińskiego, podpisał tam zastępca naczelnego wodza generał Kazimierz Małachowski."

Sędziwy autor, uważa wydanie swego dzieła o powstaniu Narodu polskiego za krok może najważniejszy w swém życiu, bo występuje przeciw od lat przeszło 40 zakorzenionéj opinji; ale ponieważ był sam najbliższym świadkiem całego kierunku sprawy narodowéj, od dyktatury Chłopickiego aż do wejścia wojska naszego do Prus pod generałem Rybińskim i że zdania swoje popiera oryginalnemi, przekazanemi mu dowodami, staje śmiało, choć dotąd sam jeden, do téj walki z opinją publiczną, dopełniając tego, co mu sumienie, honor i miłość ojczyzny nakazują.

Edmund Callier.

TEATR.

Pierwsze z przedstawień ubiegłego tygodnia' dało nam możność zapoznania się z resztą personału naszéj przyszłéj... nie wahamy się powiedzieć, opery.

Zapoznawszy już naszych czytelników z sopranem p. Macharzyńskiéj i barytonami pp. Eibla i Molskiego, wydać teraz możemy równie pochlebne świa-

dectwo p. Koziołowskiemu tenorzyście i p. Trojackiemu basse chantante.

Pierwszy z wymienionych odśpiewał w międzyaktach Recitativo i arję z 4go aktu opery „Żydówka" Halevy'ego, oraz duet Nicolai „L'Addio." Z obu tych trudnych zadań wywiązał się p. K. nad wszelkie nasze oczekiwania i przedstawił się jako śpiewak doskonałéj szkoły, z głosem silnym i czysto piersiowym. Zalety jego uwydatniły się szczególniéj przy odśpiewaniu słynnéj arji „Rachelo, kiedy Pan", trzymanéj nieustannie w wysokiéj pozycji i dramatycznym nastroju, wymagającéj przeto silnego głosu i pewnéj intonacji.

Pan Trojacki wystąpił po raz pierwszy ze znaną a tak bardzo lubioną pieśnią Moniuszki „Stary kapral", ujętą na naszéj scenie w formę efektownego dramatycznego obrazku. Głos p. T. jest dźwięczny i wyrazisty, siła jego nie jest wprawdzie zbyt doniosłą, lecz odda przy przedstawianiu oper doskonałe usługi.

Tegoż wieczora wystąpiła dwukrotnie p. Macharzyńska z „Air des bijoux" 3go aktu Gounodowskiego Fausta i w wyżéj wspomnianym duecie Nicolai. Znane nam już są piękne zalety naszéj primadonny, nie dotykając zatém szczegółów, dodajemy tylko, iż dzięki szczególnie dobremu usposobieniu artystki tego wieczoru, śpiew jéj jeszcze więcéj i ogólniéj się podobał, a łatwość pasażowania, piękna koloratura i równy tryl wywoływał przeciągłe oklaski.

Dodać należy, że nawet nieudolna orkiestra była wcale znośną, co bezwątpienia jest nową zasługą utalentowanego jéj dyrektora p. Krzyszkowskiego.

Spodziewamy się, że mając teraz tak dobry komplet śpiewnych sił, dyrekcja nasza postara się o rychłe wystawienie jakiego poważniejszego dzieła.

Żałujemy mocno, że szczupłe ramy naszych sprawozdań nie pozwalają nam na obszerne traktowanie dramatu H. Balzaka „Macocha" o którym mieliśmy sposobność słyszeć przeróżne niefortunne zdania.

Balzak jest po Shakespearze bezwątpienia najgłębszym praktycznym psychologiem, różniącym się od wielu innych bystrych spostrzegaczy niesłychaną ścisłością, rozciągającą się nawet na drobne szczegóły. Każde dzieło Balzaka stanowi zupełny organizm, w którym każda osoba ma swoje określone stanowisko i jest tak całości przydatną, jak najdrobniejsze kółko w systemie mechanicznym; wszystko u niego ma rację bytu, wszystko warunkuje się wzajemnie i dąży do kresu na podstawie naturalnéj konieczności.

Wszechstronna znajomość najskrytszych tajników ludzkiéj natury, cechująca powieści Balzaka, nie jest jednak przymiotem dramatu o którym mowa. Główne jego osoby są wprawdzie tak w założeniu jak dalszym rozwoju znakomicie i po mistrzowsku stworzone, lecz charaktera ich wszystkich są ujemne. Ta jednostronność, ten brak duchowéj antytezy jest jedyną ułomnością dzieła. Wszelkie inne braki po bliższym namyśle są tylko pozorne i uzasadnić się nie dadzą. Przypadek nie gra również w naszym dramacie żadnéj roli, przebudzenie się bowiem Zosi nie jest, jak gdzieś powiedziano, zmartwychwstaniem, lecz ostatnim wysiłkiem martwiejącéj natury, która jednak jeszcze funkcjonować nie przestała. Dla tego téż nie mogliśmy pojąć znaczenia tego Requiem śpiewanego nad osobą, która jeszcze ducha nie oddała — śpiewanego zresztą w sposób, któryby nie Zosię, ale Schumana z grobu mógł poruszyć.

Wykonanie „Macochy" było w całości jedno z najudatniejszych, jakie w tym kursie widzieliśmy, a p. Sarnecki mógł się dowodnie przekonać, że reżyserska jego praca nie jest daremną.

Pani Grabińska (Natalia) rozwinęła w roli tytułowéj cały zapas niepospolitego talentu, technicznéj biegłości i siły uczucia. Postać jenerałowéj wymaga wielu rozumowanych studjów, aby wystąpić w całéj grozie namiętnych zapałów wrących piekielnym ogniem w łonie bardzo już nie młodéj kobiety. Wybuchy tych uczuć, konieczność miarkowania ich, ratowanie pozorów — to snucie i knucie coraz nowych intryg wystąpiło w mistrzowskiéj grze p. G. z niezrównaną precyzją. Głos jéj i ruchy zostawały w ciągłéj harmonji a umiejętność pozowania dawała całości gry przepyszne ramy.

Panna Henneman (Zosia) zasłużyła na uznanie zarówno za sumienne wypracowanie roli jak za poprawną akcję, głos jéj jednak suchy i bez barwy nie pozwolił na takie cieniowanie i modulację, jakie do oddania téj roli i jéj podobnych nieodzownie jest potrzebne. Czuć było, że p. H. rozumie o co idzie, że posiadając odpowiednie środki wykonałaby pięknie to co rozumie — niestety, środków tych nie dostaje

Pp. Moszyński (Wojnicki) i Benda (Stański) pochwycili trafnie i wykonali bez zarzutu dwa typy starych legjonistów. Zarówno zewnętrzna charakterystyka jak dobranie zasadniczego tonu gry nie zostawiły nic do życzenia.

Pan Puchniewski (Rożewski) był jak zawsze wyborny a i reszta ról dobrze była wykonaną — nawet na maleńką Wandę Wesołowską zwracano powszechnie uwagę i dziwiono się wielkiéj bystrości i zręcznemu zachowaniu się na scenie takiego dziecka.

Tłomaczenie (nie jambowe) p. K. Ostrowskiego zaleca się pięknym językiem, nie możemy jednak pochwalić polonizowania takich utworów jak n. p. „Macocha", zwłaszcza, że tłomacz musiał sobie pomagać sprowadzaniem działających osób z Poznańskiego i Szląska do Wrocławia.

Ostatnie niedzielne przedstawienie przyniosło głośną komedję Bałuckiego „Polowanie na męża" w któréj odznaczył się wyśmienitą grą p. Benda (Walenty) i lokalną Warszawską farsę A. Wieniarskiego „Uliczník warszawski", w któréj dwójkę warszawskich gawroszów wykonali pp. Lidke i Puchniewski w swoim rodzaju po mistrzowsku. Jesteśmy przekonani, że postacie takie rozumieć może i odpowiednio wykonać tylko rodowity warszawiak, a pp. L. i P. są właśnie warszawskiemi dziećmi.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
O
RZECZACH POLSKICH.

— Dr. **Józef Descours**, nasz rodak, autor pracy drukującéj się na czele „Tygodnika", mianowany został profesorem filozofji w królewskiém liceum w Girgenti (Sycylja).

* * *

Księgarnia M. Glücksberga w Warszawie wydaje **Pismo święte** Starego i Nowego Testamentu podług tekstu łacińskiego Wulgaty, przekład X. Jakóba Wujka. Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja, w formacie wielkie in folio, ozdobiona 230 drzeworytami, rysunku Gustawa Doré. Wychodzi zeszytami co dni piętnaście. Całość składać się będzie z 62 zeszytów. Całe wydawnictwo ukończone będzie w kwietniu r. 1875. Dotychczas wyszły trzy zeszyty. Cena

zeszytu 15 sgr. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie. Skład główny dla Wielk. Ks. Poznańskiego i Prus w księgarni M. Leitgebra i Sp.

* * *

— Nakładem M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu wyszedł „Katalog **śpiewów polskich** i obcych z polskiemi słowami, znajdujących się na składzie w rzeczonéj księgarni.

— Administracja Tygodnika Wielkopolskiego przyjmuje przedpłatę na dzieło zbiorowe p. n. „**Wisła**“, mające uczcić pamięć zasłużonego **Pawła Stalmacha**, redaktora wychodzącéj na Szląsku austrjackim „Gwiazdki Cieszyńskiéj.“ Warunki przedpłaty: na papierze pięknym 2 tal. 15 sgr., w oprawie zwykłéj 2 tal., w oprawie ozdobnéj 4 tal. Po ukończeniu druku cena dzieła znacznie podwyższoną zostanie.

POKŁOSIE.

— Nakładem Karola Scholtze w Lipsku i pod redakcją Dra H. Zwick wychodzić będzie zeszytami trzeci rocznik dzieła p. n. „Jahrbuch über die Leistungen und Fortschritte auf dem **Gebiete der praktischer Baugewerbe.**

* * *

— **Vilmorin's** illustrirte **Blumengärtnerei**, herausgeg. von Dr. J. Grönland und Th. Rümpler, mit 1300 Holzschnitten, Verlag von Wiegandt et Hempel in Berlin. Dzieło to, ozdobione pięknie wykonanemi drzeworytami, i przychylnie przyjęte przez krytykę niemiecką, zasługuje ze wszech miar na uwagę ogrodników i lubowników kwiatów. Pierwszy tom zawiera w porządku abecadłowym wykazy i opis roślin ogrodowych, wskazówkę do ich chodowania i użycia; w drugim tomie ugrupowano te kwiaty wedle kolorów, pory rozkwitu i najstósowniejszego w ogrodach użycia, i dołączono słownik wszystkich wyrazów techniczno-ogrodniczych oraz i spisu roślin podług ich nazw niemieckich, angielskich i francuzkich. Dzieło to nabyć można zeszytami.

* * *

— **Ernest Renan** pracuje obecnie nad nowém dziełem p. t. „Apokalipsa.“

* * *

— **Książę Bismark**, pisze obecnie swój życiorys i zamierza go wydać własnym nakładem i na wyłączną swoją korzyść.

* * *

— **Jedną z osobliwości bibliograficznych** biblioteki hiszpańskiéj w Eskorjalu, która zagrożoną była zniszczeniem w skutek wynikłego pożaru jest słynna księga Codice aureo, złożona ze 178 arkuszy pargaminowych, na któréj wypisane są złotemi literami cztery ewangelje, listy św. Hieronima i kanony św. Euzebiusza. Głoski téj księgi nie są pisane, lecz wykrawane ze szczerego złota i przylepiane, a lubo to sięga ośmiu wieków, żadna głoska nie odpadła. Liczą, że litery same ważą 17 funtów złota.

* * *

— Benedyktyni klasztoru neapolitańskiego na Monte-Cassino zajmują się wydaniem chromolitografowaném rysunków **Michała-Anioła Gaetani** do „**Boskiéj Komedji Danta.**“

— **Gounod** napisał chóry i antrakty do dramatu Legouvego p. t. „Dwie królowe.“ Sztuka ta ma być przedstawioną w bieżącym jeszcze miesiącu w operze włoskiéj w Paryżu. Tłumaczył ją na polskie p. Antoni Kłobukowski.

* * *

— Dostojnik turecki **Hassim-Pasza** napisał pierwszą operę w języku tureckim p. n. „Mahomet i jego zwolennicy.“

* * *

— **Jan Strauss**, znany kompozytor, kończy nową operetkę p. t. Karnawał w Rzymie“, która ma być po raz pierwszy przedstawioną w grudniu w teatrze wiedeńskim an der Wien.

* * *

— W Walencji nowa opera **Sorianiego** Mysterios del amor budzi wielkie zajęcie słuchaczy; podobnież Giralda Cagnoniego w Florencji.

* * *

— **Starożytne groby pogańskie.** W Czechach w pobliżu wiosek Wezelic i Nahorzan, oraz w pobliżu miasta Jeromierz i Czeskie Skalice, odkryto starożytne groby pogańskie. Znajdują się one w gęstym lesie, w pobliżu zwalisk zamku Wezelic; miejsce to dotąd tameczny lud nazywa „w Kopcich.“ Groby mają kształt pagórków stożkowatych, stojących rzędem, majacych około jednego sążnia wysokości, tylko jeden pagórek jest wysoki na dwa sążnie. Grobów tych odkryto około 120. Można się spodziewać, że mogiły te, których rozkopaniem już się zajęto, dostarczą ciekawych przedmiotów dla historji i starożytności czeskich.

* * *

— **Dziewczę ateńskie.** — Z Aten donoszą do Timesa, że tamże żyje do dziś dnia Byrona, dziewczę ateńskie. Dziennik londyński wzywa do składek na wsparcie sławnéj niegdyś piękności, która dziś w smutnych bardzo znajduje się stosunkach. W roku 1834 Marja — Byrona „dziewczę ateńskie“ — poślubioną została pewnemu młodemu anglikowi p. Blak, który przybył umyślnie do Grecji, aby pozyskać serce kobiéty, która natchnęła Byrona do tak cudnego poematu. Po śmierci męża pozbawiona utrzymania, zapomniana, żyła w nędzy, i dziś dopiéro wyszukał ją z zapomnienia jakiś Anglik i przypomniał światu kobiétę, o któréj kiedyś tak wiele mówiono i pisano.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.